

JÓZEF BARAN

## PRZYSTANEK MARZENIE (20)

(FRAGMENTY)



Teraz napisała recenzję o moim tomie esejów i wspomnień pt. *Tragarze wyobraźni* i przeprowadziła ze mną rozmowę na jej temat. Oto jej fragmenty:

– W ostatnich latach wydał pan dziennik *Koncert dla nosorożca* oraz tom wywiadów i wspomnień *Tragarze wyobraźni*. Ciągnie pana do prozy?

– Tak, czytam teraz chętniej prozę od wierszy. Wszystko, co najlepsze w języku polskim jest mi znane, a niestety nie opanowałem języków obcych na tyle, żeby odkrywać nieznaną poetyckie łądy... Ostatnio czytałem np. książki Celine'a – *Podróż do kresu nocy*, *Śmierć na kredyt*. Ktoś powie: Baran tak późno odkrywa Celine'a? Tak, i to jest wspaniałe, że obcowanie z niektórymi znakomitymi pisarzami zostało odłożone w czasie i właśnie teraz – gdy jestem już przygotowany do ich smakowania – mogą mi sprawić frajdę intelektualną. Mój przesyty wierszami wynika też pewnie z tego, że od lat redaguję w „Dzienniku Polskim” pocztę literacką i jestem zasypany płodami wyobraźni początkujących i amatorów.

– Użył pan słowa „odkrywanie”. W książce *Tragarze wyobraźni* jest ono słowem kluczem, cały czas odkrywa pan ludzi – wybitnych twórców, którzy pana fascynują.

– Należę do pokolenia, które fascynowało się mistrzami. Uczylem się wiele od „starych”. Tacy ludzie, jak: Harasymowicz, Nowak, Redliński, Myśliwski, Mrozek, Białoszewski, Sandauer, byli dla mnie – wówczas ich ucznia – czarnoksiężnikami słowa. Czulem się zaszczycony, że chcą ze mną rozmawiać czy nawet przyjaźnić się.

– Dla mnie największą wartością *Tragarzy wyobraźni* jest rozbudzanie ciekawości. Po jej przeczytaniu mam ochotę iść do biblioteki i poszukać opowiadań zapomnianego Jana Rybowicza albo sięgnąć po *Maść na szczury* Bogdana Madeja. Znam tytuł, to była kiedyś popularna książka, ale nigdy jej nie przeczytałam. „Ocalić od zapomnienia” – ta piękna myśl przyświeca panu jako autorowi.

– Tak, poza niekwestionowanymi mistrzami chciałem przypomnieć pisarzy mniej głośniejszych, wartościowych, na przykład Rybowicza, który siedział samotnie w Lisiej Górze i pił „gorzałę” z

tamtejszymi menelami, a równocześnie napisał kilka świetnych zbiorów opowiadań wydanych w dużych wydawnictwach. Nie ma się kto o niego upomnieć, bo nigdy nie istniał w środowisku literackim Warszawy czy Krakowa, wobec tego mało kto go jeszcze pamięta poza mną czy Pilchem, który kiedyś z nim korespondował. Największym jego fanem okazał się Rosjanin Andrzej Bazylewski, który przełożył i wydał w Rosji prawie wszystkie jego utwory prozą i wierszem, oraz Krzysztof Myszkowski, kompozytor i lider Starego Dobrego Małżeństwa, dzięki któremu wiersze Janka odżywają jako piosenki.

– „Ta straszna wrażliwość: Jan Rybowicz” – tak pan zatytułował wspomnienie o nieprzystosowanym do świata samotniku. W *Tragarzach wyobraźni* zapamiętałe śledzi pan ludzkie wybory życiowe. Ludzie chyba bardziej fascynują pana jako dziennikarza niż jako poeetę?

– Jako poeetę też. W końcu „wszystko jest poezją”, jak mawiał Stachura. Poezja to przecież – może nawet przede wszystkim – empatia, współczucie dla drugiego człowieka.

– W książce znajduje się śliczny tekst o wiejskiej poetce Stanisławie Kopiec.

– Ona napisała najlepsze wiersze po śmierci dwudziestoletniego syna. Nie wiadomo, co się stało, czy się utopił, czy go zabili. W każdym razie po śmierci Staszka stworzyła tom trenów matczynych. Niezwykły. O niej też mało kto wie... Niestety nie wszyscy moi ulubieńcy znaleźli się w tej książce. Zabrakło Kapuścińskiego, choć, przynajmniej, znalazły się wywiady z autorami, których twórczością niespecjalnie się zachwyca. Marian Pankowski czy Jerzy Hordyński – to nie są moi literaccy ulubieńcy. Ale rozmowa z nimi okazała się frapująca (...)

– Przyjemność obcowania z *Tragarzami wyobraźni* polegała na tym, że znajdowałam w nich podobne do moich fascynacje literackie.

– Bo jesteśmy prawie z tego samego pokolenia.

– Mam ochotę od nowa czytać Leśmiana, o którym Pan napisał jeden z najlepszych esejów.

– Fantastyczny poeta!

– A człowiek taki sobie.

– Tak, z etyką bywało u niego na bakier, bardziej od etyki kochał łakocie, hazard i kobiety: od kucharek po bardzo wykształcone. Nie był patriotycznym wzorem do naśladowania. Ale jakież tam są w tej poezji kosmiczne mateczniki, jakie gęszce metafizyczne!

– Trzeba rozdzielać wspaniałą twórczość od pospolitego życia.

– Dokładnie! Villon siedział w więzieniu, Céline był antysemitą i faszystą.

– Na zakończenie proszę powiedzieć, kiedy opublikuje pan następny tomik?

– Nie wiem. Z pisaniem wierszy jest jak ze snami, których nie można zaprogramować. Jeśli mam okresy pustki, nie pisania, to po prostu gorzej mi się żyje. Teraz właśnie mam taki okres... Nie wiem, czy w ogóle będę jeszcze coś pisał, a może źródło już wyszło na amen?

– Oczywiście, obydwójce w to nie wierzymy.

**„Umarł człowiek, leży dumnie,  
w długiej i dębowej trumnie...”**

„Młodzi poeci, którzy pragną ujawnić publicznie swoje próbki talentu – mogą przysłać”

wiersze pod nazwiskiem, inicjałami czy pseudonimem z krótką notą biograficzną na adres redakcji (dopisek na kopercie „Wierszowisko”). Jako redaktor rubryki przyrzekam, że wszystkie listy przeczytam i postaram się oddzielić «kopiętych przez Pegaza» od »uskrzydlonych«.

Ogłoszenie to zamieściłem w 1996 roku na łamach najpopularniejszej gazety krakowskiej „Dziennik Polski”. Od tamtego czasu przewinęło się przez „Wierszowisko” setki piszących wiersze: uczniów, studentów, ludzi w wieku produkcyjnym i starszych; grafomanów i tzw. dobrze zapowiadających się. Niektórzy wydali tomiki, inni zerwali z pisaniem, które było dla nich chwilową przygodą.

W odróżnieniu od moich znakomych krakowskich poprzedników z „Życia Literackiego” Wisławy Szymborskiej i prof. Włodzimierza Maciąga (a przez pewien czas też Marka Sołtysika), którzy redagowali rubrykę anonimowo – postanowiłem występować z otwartą przyłbicą, to znaczy z nazwiskiem. Uznałem, że jeżeli nawet muszę pełnić czasem niewdzięczną rolę kata, nie będę się krył.

W początkowym okresie starałem się, by moje odpowiedzi na listy nie tylko zachęcały do refleksji i opiniowań, lecz były też zabawne. Doprawiałem je żartem i ironią jak niegdysiejsi redaktorzy „Życia Literackiego”, których czytywałem w młodości – zachwycając się finezyjnymi zdankami pełnymi humoru i dowcipnej krytyki w rodzaju: „Jeśli wydrukujemy, prosimy podać aktualny adres Kazimierza Przerwy-Tetmajera, abyśmy mogli wysłać mu osiemdziesiąt procent honorarium autorskiego”, czy „Wszystko na tym świecie niszczy się od stałego użycia, oprócz prawideł gramatycznych. Niechże Pani śmieje z nich korzysta – starczy dla każdego”. Lub: „To prawda, że Eluard nie umiał po polsku, czy jednak przekładając jego wiersze, trzeba to aż tak mocno podkreślać?”. Prowadząc rubrykę w podobnym stylu, mogłem liczyć na czytelników nie tylko z kręgu sympatyków poezji. I rzeczywiście, po jakimś czasie gratulowali mi ciętego, pieprzonego języka ci znajomi, których nigdy nie posadzałem o zainteresowanie literaturą. Zrozumiałem, że podobalo im się nie tyle moje znanstwo, ile raczej to, że komuś dowcipnie „przyłałem”, „przywaliłem”, „przysoliłem”. Ach, jak my to lubimy! To moje odkrycie skłoniło mnie do złagodzenia form wyrażania ocen. Pojąłem, że wyszydząc moich braci mniejszych (i siostry) po piórze, ustawiam się w czasach bezlitosnych dla czystej sztuki po stronie tych, którzy nie czytają wierszy. Bądź co bądź wysmiewałem – może niezdarne i grafomańskie, jednak nacechowane szlachetnością – wysiłki wrażliwości i wyobraźni pragnącej wyrazić ludzkie uczucia i emocje: piękno, zachwyt, cierpienie, ból, samotność, miłość itd. Cóż winni są zakochani w poezji, że ta niewdzięcznica odrzuca ich starania o rękę? Przypomniały mi się męki duchowe, jakie przeżywałem, gdy przed trzydziestu pięciu laty wysłałem do pewnego czasopisma moje opowiadanie, które zostało odrzucone i skrytykowane. Byłem wtedy nauczycielem na prowincji, a moi koledzy z grona nauczycielskiego, zwykle nieczytający tego czasopisma, jak na złość trafili na rubrykę, ba, domyślili się, że to właśnie o mnie mowa.

cdn.